

Między krzakami róż

17 lipca 2008, Bombaj

Zbliżała się północ, jednonoga kobieta doznała ciężkich poparzeń, a bombajska policja szykowała się do aresztowania Abdula i jego ojca. Rodzice Abdula wyjątkowo szybko i zgodnie podjęli decyzję. Schorowany ojciec pozostanie w zagraconej, krytej falistą blachą chacie położonej w slumsach nieopodal międzynarodowego lotniska i bez słowa odda się w ręce stróżów prawa, gdy po niego przyjdą. Uciekać musi Abdul, jedyny żywiciel jedenastoosobowej rodziny.

Syna jak zwykle nie pytano o zdanie, zresztą chłopak i tak był ledwo żywy ze strachu. Miał szesnaście, może dziewiętnaście lat – rodzice nigdy nie mieli głowy do dat – przy czym Allah w swojej nieprzeniknionej mądrości obdarzył go nikłą posturą i nerwowym usposobieniem. Sam Abdul nazywał siebie krótko tchórzem. Nie znał się na ucieczkach i przechytrzeniu policji. Tak naprawdę znał się tylko na jednym: na śmieciach. Odkąd sięgał pamięcią, zajmował się skupowaniem i sprzedawaniem firmom recyklingowym odpadów wyrzucanych przez bogatszych ludzi.

Owszem, Abdul rozumiał, że musi jak najszybciej zniknąć, ale gdy tylko przekroczył próg domu, wyobraźnia go zawiodła. Przez pewien czas biegł prosto przed siebie, jednak już po chwili zatrzymał się i pędem ruszył z powrotem. Do głowy przychodziła mu tylko jedna kryjówka – szopa, w której przechowywał śmieci.

Kiedy ponownie znalazł się w domu, zatrzasnął drzwi wejściowe i wyrzwał na zewnątrz. Barak, w którym mieszkała jego rodzina, znajdował się pośrodku długiego rzędu podobnych chat, naprędce skleconych z przypadkowych materiałów; składzik z odpadami mieścił się tuż obok. Jeśli zakradłby się do niego niepostrzeżenie, udałoby mu się pozbawić sąsiadów niewątpliwej przyjemności, jaką byłoby wydanie go w ręce policji.

Abdul z niepokojem zerknął na księżyc, wyjątkowo pyzaty i beztrosko jasny. Srebrzysty blask niebezpiecznie rozświetlał zakurzony plac i koślawiące się po jego drugiej stronie chałupy, w których tłoczyło się ze dwadzieścia innych rodzin. Chłopak obawiał się, że tej nocy nie tylko on przyczał się za drzwiami ze sklejki, by z ukrycia obserwować okolicę. Niektórzy sąsiedzi nie życzyli dobrze jego rodzinie z powodu historycznych zaszłości między hinduistami a muzułmanami. Niechęć innych miała podłoże bardziej współczesne, ekonomiczne. Handel śmieciami, uznawany przez wielu Hindusów za niegodne zajęcie, sprawił, że poziom życia rodziny Abdula znacznie się poprawił.

Na placu przed domem panował nienaturalny spokój. Zwykle nabrzeże zbiornika ze ściekami, stanowiącego wschodnią granicę dzielnicy biedy, tętniło życiem do późnej nocy. Było to jedyne miejsce, w którym mogło znaleźć ujście napięcie narastające w ciasnych chatach i wąskich uliczkach slumsów. Dlatego ludzie tak tłumnie wylegali na majdan, by się kłócić, myć, gotować, romansować, doglądać kóz, grać w krykieta, stać w kolejce do ogólnodostępnego kranu lub do miejscowego burdeliku albo najzwyczajniej w świecie odsypiać efekty spożycia siarczystego samogonu pędzonego przez sąsiadów Abdula. Teraz jednak, po awanturze i podpaleniu kobiety zwanej Kuternogą, wszyscy pochowali się w swoich chatach.

Oprócz stadka zdziczałych świń, bawołu domowego i pojedynczych pijaczków, którzy jak zwykle spali wprost na ziemi wtuleni twarzą w kurz, na dziedzińcu pozostała tylko jedyna przytomna osoba, nieustraszony chłopiec z Nepalu. Siedział na samym brzegu sadzawki, ramionami obejmował kolana, a cała jego postać spowita oparami ścieków mieniła się na niebiesko za sprawą neonu reklamującego luksusowy hotel, który znajdował się po drugiej stronie bajora. Obecność chłopca nie martwiła Abdula. Wiedział, że ten mały, Adarsz, nie donosi policji, a przesiaduje na placu niemal do rana tylko po to, by przeczekać nocne napady szału swojej matki.

Moment wydał się Abdulowi odpowiedni, wysłiznął się więc z domu, pędem rzucił w stronę składziku i zamknął za sobą drzwi.

Ogarnęła go ciemność, w której słychać było jedynie gorączkowy chrobot szczurów, ale mimo to chłopak odetchnął z ulgą. To było jego królestwo – jedenaście metrów kwadratowych wypchanych po sam przeciekający w kilku miejscach dach przedmiotami, z których tylko on potrafił zrobić użytek. Puste butelki po wodzie i whisky, spleśniałe gazety, stare aplikatory do tamponów, pomięta folia aluminiowa, parasole, z których zostały same druty, poprzecierane sznurówki, poźółkłe patyczki higieniczne, splątane taśmy magnetofonowe, podarte pudełka, w których sprzedawano podróbki lalek Barbie. Gdzieś w ciemnościach kryła się sama Berbee albo Barblie, okaleczona przez bogate dzieci, które mając pełno zabawek, lubią eksperymentować na tych mniej lubianych. Abdul zdążył się już nauczyć, w jaki sposób minimalizować ryzyko rozproszenia uwagi. Wszystkie znalezione lalki układał na stosie szpargałów piersiami do dołu.

„Unikać kłopotów”. Tak brzmiała naczelna zasada Abdula Hakami Husaina; zasada tak głęboko zakorzeniona w świadomości chłopaka, że znalazła odzwierciedlenie również w jego wyglądzie. Głęboko osadzone oczy, zapadnięte policzki, przygarbione plecy i żylasta postura – to wszystko sprawiało, że przeciskając się przez zatłoczone uliczki, Abdul zdawał się zajmować jeszcze mniej przestrzeni niż inni wychudzeni mieszkańcy slumsów. Prawie każda część jego ciała była skurczona, jeśli nie liczyć odstających uszu i bujnych włosów, które za każdym razem, gdy ocierał pot, przyklepiały się do czoła i sterczały do góry niczym nakręcona na lokówkę grzywka dziewczynki.

W Annawadi, najbardziej rynsztokowej dzielnicy biedy, drobna, nierzucająca się w oczy sylwetka to zaleta. Tutaj, na zachodnich obrzeżach finansowej stolicy Indii, trzy tysiące osób żyło ściśniętych w trzystu trzydziestu pięciu chatach lub na ich dachach. Niektórzy stąd uciekali, ale na ich miejsce zaraz przybywali następni. Zjeżdżali tu ludzie z całego kraju, głównie Hindusi, reprezentanci wszystkich możliwych kast i odmian hinduizmu. Sąsiedzi Abdula byli przedstawicielami tak wielu kultur i wyznań, że chłopak, sam należący do kilkudziesięcioosobowej mniejszości muzułmańskiej, nawet nie próbował ich zrozumieć. Annawadi jawiło mu się jako pole minowe naszpikowane dawnymi i świeżymi urazami, dlatego już dawno postanowił koncentrować się jedynie na tym, by uniknąć czyhających na każdym kroku pułapek. Ponieważ przede wszystkim dzielnica ta, ulokowana na styku dwóch światów, stanowiła raj dla handlarza śmieciami bogaczy.

